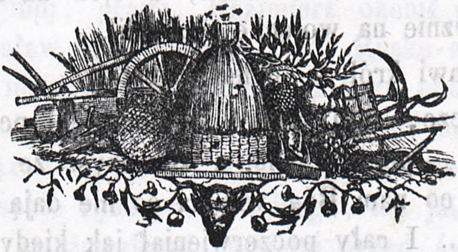
Tom II. Nr. 10.

1. Kwietnia 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

BOLESŁAW KRZYWOUSTY.

I.

Już to na Bolesławach pan Bóg prawdziwie pobłogosławił Polskę. Każdy z nich był sobie król jak się patrzy: tak do szabli tęgi, jak i do rządów sprawny. Nieladać który kraj może się pochwalić takimi królami jak nasi trzej Bolesławy: więc jeden co się zwał *Chrobry*, a drugi *Śmiały*, trzeci nareszcie ten oto *Krzywousty*, co nastał po swoim ojcu Władysławie na tron polski. Miał ci on wprawdzie krzywe usta, bo go tak choroba oszpeciła jeszcze w dzieciństwie będąc — ale mniejsza o to! lichyć to król, coby rządził ustami. Gładkie lica i piękna mowa nie zbogacą kraju, ani go też od nieprzyjaciół nie zbawią; a na tych jak się już nieraz rzekło, nigdyć nam nie zbywało. To też król polski aby się na co zdał, musiał mieć przedewszystkiem odwagę jako prawdziwy rycerz i głowę nie od parady, coby krajem dobrze rządziła. A takim był właśnie nasz Krzywousty.

Bywało jeszcze za życia króla ojca, kiedy w trąby zagrali na wojnę, maleńki Bolesławek bo ledwo dziewięcioletni, rwie się na gwałt do konia i do szabli, a ojca na klęczkach prosi, żeby mu koniecznie na wojenkę pozwolił.

— At, prawi król — dziecko jesteś.

— Mój ojcze, mój królu! zaklinał chłopczyna i całował ojca po nogach — pozwól jeno, a zobaczysz że potrafię bić naszych wrogów, co nam Bóg wie za co nie dają spokoju. — Ho, ho, dam ja im!... I cały poczerwieniał jak kiedyby stary wojak jaki od gniewu, i począł się odgrażać srodze, wymachując pięstuczkami — aże król się roześmiał i musiał w końcu rad nie rad pozwolić synalkowi na wojnę. Jeno starszym nakazał, żeby na niego baczność mieli.

I tak to Bolesław nasz już zawczasu kierował się na prawdziwego rycerza. Dziś w takim wieku nasi chłopcy prawie jeszcze w piasku się bawią i uganiają na patyku niby na koniku — a on syn królewski już robił służbę w obozie, sypiał na gołej ziemi i bijał się z nieprzyjacielem jak każdy inny żołnierz. A Polska cieszyła się, że kiedyś będzie miała takiego zucha króla.

To też po śmierci ojca wszyscy byli za Bolesławem, chociaż był jeszcze i drugi królewicz, imieniem Zbigniew, i nawet starszy od Bolesława. Aleć że raz, Zbigniew nie był ślubnym synem króla, a potem, że Bolesława wszyscy bardziej kochali — więc on został królem. Tamten zaś dostał z łaski brata małą cząstkę kraju, gdzie mu wolno było panować. Inny coby więcej kochał ojczyznę jak siebie, siedziałby cicho, kiedyć się tak Bogu spodobało, aby nie on królował ale brat jego. Że zaś Zbigniew niedobry był, więc począł wichrzyć w kraju, powstawać na brata, a nawet przeciwko własnej ojczyźnie, niecnota jakiś, nie wachał się zmawiać z nieprzyjacioły i na wojnę z Polską ich prowadzić.

Zrazu Bolesław nasz jakoś nie pomiarkował, co mu się święci od brata. Zdawało mu się, że w kraju piękny spokój, więc że czas było aby się ożenić. Zachwalali dużo królowi córkę księcia Ruskiego na Kijowie, że była bardzo urodziwa i

co więcej bardzo dobra pani. Król chętnie temu uwierzył. Powiadał on nieraz, że najmilszą mu byłaby żona ruska.

— Dziad mój, prawi, Kazimierz ożenił się z Ruską — mój stryj Bolesław Śmiały pojął także Ruskę za żonę — toć i ja nie łakomy innej małżonki, jeno z tego poczciwego gniazda ruskiego. Podobają mi się Rusini, bo to lud szczery, gościnny i z tej samej krwi co Polacy. Chciałbym ja, żeby kiedyś te oba narody podali sobie ręce w obec Boga, tak jak to czynią królowie polscy z księżniczkami ruskiemi przed świętym ołtarzem, i poprzysięgli sobie nawzajem wieczystą miłość.

Tak powiadał król Bolesław razu jednego do panów polskich, zgromadzonych na zamku w Krakowie, i kazał im się duchem gotować do podróży w kraj ruski.

— Bierzcie, kazał on — ze skarbca mego dary co najdroższe i niebawem ruszajcie mi w swaty do przesławnego księcia na Kijowie, prosząc o jego szlachetną córkę na małżonkę dla króla polskiego.

Rychło sprawili się swatowie. Kijowski książę rad był z duszy takiemu zięciowi — na łeb na szyję ładowano wozy z bogatą wyprawą dla księżniczki; i błogosławili ją rodzice na drogę i dużo tam było płaczu, gdy się rozstawali ze sobą.

Skoroż się Bolesław dowiedział, że jego narzeczona już blisko, wyruszył z zamku na powitanie. Kraków przystroił się w tym dniu jakby w jakie wielkie święto. Na zamku powiewały barwiste chorągwie, rycerze w złocistej zbroi i na pysznych koniach czekali u bramy, rozstawieni po obu stronach. Za zbliżeniem się królowej uderzono w kotły i w trąby zagrano, a lud wszystek cieszył się i życzył dobrze swojej przyszłej pani.

Dopieroż wesele było huczne — król szczęśliwy sypał na wszystkie strony bogate podarunki; królowa już nie płakała za domem, bo jej się u nas bardzo spodobało.

Aliści nie długo było tego szczęścia i tej wesołej zabawy! Polskę najechał nieprzyjaciel srogi. A prowadził go Zbigniew niedobry, któremu szczęście brata stało się solą w oku. Król prawie co nie zapłakał, skoro się dowiedział że Zbigniew zdrajca. —

W Krakowie na rynku w szereg szykują się nasi rycerze, co ich król powołał na wojnę. Piękne to były chłopy, ci nasi dawni rycerze — mój Boże! to jeden w drugiego rosły jak dąb i takiej siły, coby mu niedźwiedź nie sprostał. Ubierali się oni w żelazo od stóp do głowy, kiedy szli na wojnę. Dziś człeku gdyby cię w taką sukienkę ustroili, powaliłbyś się jak klocek na ziemię i anibyś ręką kiwnął. A szablę co nią każdy z nich wtedy wywijał jak piórkiem, dziś nie wiem czyby dwóch chłopów ruszyło z miejsca. — Tacy to byli siłacze za dawnych czasów!

W Krakowie na rynku stoją nasi rycerze i czekają rychło z zamku król nadjedzie. Z domów powychodziły stare kaleki i niewiasty z dziećmi na rękach, by się też przypatrzyć polskim wojakom i na wojnę im pobłogosławić. I nabawiły się matki nielada kłopotu, bo im się chłopięta z rąk wyrywały na gwałt do rycerzy i do tych szabel błyszczących od słońca, że ani daj Boże było ich uspokoić. — Takać to dusza niebojąca a rycerska była już w dzieciach naszych za dawnych czasów!

W Krakowie na rynku stoją nasi rycerze a pod nimi dziarskie konie prychają, taj niecierpliwią się na wojnę. Aż tu od królewskiego zamku słychać trąbienie na znak, że król jedzie. Niebawem też zadudniła ziemia od kopyt końskich, a zamkową drogą pędzi w cwał kilkunastu jeźdźców. Naprzód wysunął się jeden rycerz w złocistej zbroi i na pysznym koniu. Był to sam król. Radośnym okrzykiem powitało go wojsko — król podziękował jak należy, nie dużo mówił jeno pokazał szablą w stronę, zkąd się spodziewali nieprzyjaciół i zawołał: — Boże nam dopomóż! Poczem na miejscu zwrócił konia i rozkazał: — Za mną, panowie rycerze! W pochód ruszyło wojsko, spiewając sławną pieśń św. Wojciecha: „*Boga Rodzica*“ — a lud wszystek błogosławił mu: Szczęść Boże!

I jakże miarkujecie, po czyjej stronie była wygrana? A jużcić po tej stronie, gdzie przewodził Bolesław. Bo i któżby jemu sprostał, kiedy to, mówię wam moi ludzie, w tym królu była taka dusza odważna, że choć i samego diabła, toby się pono nie uląkł.

Raz zdarzyło się podczas tej wojny, że go jeden z panów polskich zaprosił na swoje wesele. Król okrutnie lubiał polować. Więc po weselisku wybrał się do pobliskiego lasu na grubą źwierzynę. A nie miałci wtedy przy sobie więcej nad stu luda. Jeno co weszli do lasu, aż tu z zasadzki wysypała się straszna moc nieprzyjaciół i hurra! uderzyli na króla i na jego ludzi, wrzeszcząc: Poddaj się! Radzili dworzanie królowi, ażeby co tchu umykał, bo przemoc wielka. Ale Bolesław ani dał sobie mówić o tem.

— Nie chcę, powiada, bom nie żaden zając abym uciekał, a tę chołotę nauczę, co to znaczy wołać na króla polskiego: „Poddaj się". Dalej za mną!

I pierwszy uderzył w sam środek nieprzyjaciół; za nim naturalnie że i dworzanie poszli na przebój. Matko Przenajświętsza! co tam król wtedy łbów nie napłatał — ludzie też jego niezgorzej mu pomagali. Dość na tem, że nietylko nie uciekł, ale jeszcze napastnikom tak srogiego napędził boja, że zmykali aż się za nimi kurzyło. A było ich przecie do trzechtysięcy chłopa, podczas kiedy Bolesław miał tylko stu.

Jużcić domyślicie się, czyja to była sprawka, że w onym lesie króla opadli — że to Zbigniew niedobry nastawał na życie brata. Dowiedział się o tem Bolesław i zawołał w żałości: — Zbigniewie! Zbigniewie! w czem ja tobie zawinił, że godzisz na moje życie?

Odezwie się jeden ze starszych panów: — Miłościwy królu! to już nic z tego — co się łyso urodziło, łyso zginie. Książę Zbigniew niegodzien Waszej królewskiej miłości.

— Nie! jeszcze mu ten raz jeden podaruję — odrzecze król. A do Zbigniewa taki napisał list: Bracie, jesteś na złej drodze — uważaj żebyś daleko nie zaszedł. Napominam ciebie po raz ostatni: Upamiętaj się! rzeknij mi też, czego chcesz odemnie? radbym się koniecznie z tobą pogodzić, boć to przecie grzech, żeby się dwaj bracia nie kochali, jeno bij zabij na siebie. Bój się też Boga Zbigniewie i nie zdradzaj Polski, która jest przecie twoją Ojczyzną!

Może myślicie, że to pisanie królewskie wziął sobie niecnota Zbigniew do serca? gdzie tam! Jemu się gwałtem zachciało królować; a że innym sposobem nie wiedział, jakby się dorwać do tej korony, jeno przez zdradę — więc dalej wichrzył i z wrogami zmawiał się na Polskę jako też na króla. Bolesław postanowił raz temu jakiś koniec uczynić, bo jużcić takie niegodziwości trudno było choć i bratu swemu płazem puszczać. Zanim się Zbigniew spostrzegł, już mu wojsko królewskie siedzi na karku — ledwo co umknąć zdołał. Wygnaniec z ojczyzny temci bardziej zawziął się na Polskę i na brata. Ale na szczęście z Bolesławem to była sprawa, co się to niczyich gróźb nie lękał. Pod takim królem bezpieczna była nasza Polska, choćby się nie jeden ale i dziesięciu takich Zbigniewów na jej zgubę zprzysięgło. — Zobaczycie to sami w dalszem opowiadaniu o *Bolesławie Krzywoustym.* —

Śpiewka matuli nad kołyską.

Na badylu ptaszki mi się kołysały:
Lulu! lulu! mój synalu! — tak sobie śpiewały.

Wezmę na sukienkę płócienka z prążkami,
Ustroję chłopczyka w czepeczek z wstążkami.

W białej poduszeczce pójdzie do kościółka;
Tam ksiądz Proboszcz ochrzci mojego aniołka.

On ci będzie *chrzestnym*, da ci ojca miano;
Raniutko cię ochrzci, abyś wstawał rano.

Da ci ojca imię, imię Kazimierza;
A gdy chodzić będziesz, nauczę pacierza.

A teraz umaję kolebkę chłopczyny,
Będzie spał, jak w gaju zielonym ptaszyny.

A jak mi wyrośniesz i dobry i zdrowy,
Pójdziemy na odpust wraz do Częstochowy.

Weźmiem słoik masła i bochenek chleba,
A słonko nam jasno świecić będzie z nieba.

Pośród złotych łanów idąc z chorągwiami,
Będziem sławić Marję głośnemi pieśniami.

A gdy Jasną-Górę zdaleka ujrzemy,
Z całą *kompanią* na twarz upadniemy.

I błagać będziemy Niebieską Królowę,
By pod Jej obroną wyrosłoś nam zdrowe.

Kupimy ci krzyżyk, szkaplerz poświęcany:
Lulajże mi, lulaj, syneczku kochany!

Zrazu będziesz nosił jagódki w dzbaneczku:
Nie płaczże mi, nie płacz, drogi kochaneczku!

Potem gnać na łączkę będziesz białe gąski,
Potem nam pomożesz zbierać w polu wiązki.

I do szkółki chodzić będziesz raniuteńko,
Nauczysz się czytać, pisać, me złoteńko.

Potem nam i panu kosząc niwę złotą,
Będziesz przed wszystkiemi przodkować z ochotą.

Do karczmy ci rzadko pozwolę na tany,
Bobym zapłakała, gdybyś był pijany. —

Kołysz się, kolebko od ściany do ściany:
Lulajże mi, lulaj! kwiatuszku różany!

Kołyszże się, kołysz, kolebko lipowa!
Niechże cię Pan Jezus, syneczku! uchowa.

(*Cz. N.*)

HISTORJA

o kłótntach Szeligów i Berdyszów, dwóch kmiecych rodzin w Gajowie i jak się pogodzili z sobą.

Koniec opowiadania

Józefa z pod Krakowa.

Ostatnią razą powiedziałem wam, jak to Janek Berdysz przypadł z Baśką Szeliżanką na ręku przed ganek dworski — i że na ganku właśnie siedzieli pan, pani i jakiś urzędnik powiatowy i popijali herbatę. Skończyłem zaś na tem, jak Janek ukląkłszy przed państwem, jął mówić:

— Wielmożni państwo! ratujcie mię i Baśkę.

Teraz posłuchajcie dalej. Pierwszy odezwał się sam dziedzic:

— Cóż ty masz do Baśki? zapytał — wszakże ona Szeliżanka, a ty Berdysz?

Wtedy Jasiek w krótkości wszystko opowiedział. Pan i pani dziwili się zrządzeniu Boskiemu.

— A pamiętasz ty Jaśku, mówiła pani — jakeś wołał Grabczankę albo Piotrowę z pod kościoła?

— To mnie też Pan Bóg ukarał — mówił Jasiek. Baśka tymczasem za staraniem pani przyszła do siebie i zaczęła państwa całować po rękach i prosić.

Urzędnik powiatowy odezwał się:

— Więc to o Walku Bizunie mowa, co się ma z tą dziewuchą ożenić? No! on się pierwej z kryminałem pozna. Przyjechałem tutaj, aby go aresztować jako złodzieja i dezertera.

Zaledwie to powiedział, juści Szeliga stary wpada ze swojemi na dziedziniec. Pierwej i on znał uszanowanie dla państwa, ale zbuntowany, wpadł teraz w czapce i z kijem, wiodąc Walka i parobków. Berdysz wpadł za nim, ale przecie zdjął czapkę z głowy.

— Proszę wielmożnego pana! rzeknie Szeliga — żeby mi oddał moją Baśkę. Ta psiawiara Jasiek uciekł z nią do dworu.

A stary Berdysz: — Niech wielmożny pan odda, bo ja nie chcę, aby sobie mój syn tą bestyją głowę zawracał.

— Baśka mnie zrękowana! wołał zuchwały Walek trzymając czapkę na łbie — nikt jej zatrzymać nie może.

— To ty bratku! odezwał się urzędnik powiatowy oburzony całą tą historją. Po ciebie przyjechałem. Pójdźno tu do mnie.

Walek chciał dać drapaka i zbladł jak ściana. Berdysz zatrzymał go za kołnierz.

— Idź łotrze, kiedy cię wielmożny adjunkt woła.

Walek stanął przed adjunktem, drżący jak osika.

— Nazywasz się Maciej Niezdara? mówił urzędnik.

Walek kłapnął zębami ze strachu. Szeliga odpowiedział za niego:

— Wielmożny adjunkcie, to Walenty Bizun, przysiężny, a nie żaden Niezdara.

— Nie ciebie się pytam, rzekł groźno adjunkt. Nazywasz się Niezdara i byłeś foryszycem u porucznika Schwertstreich w 40tym pułku. Okradłeś go i uciekłeś. Kto ci tę nogę przetrącił, tego nie wiem — dość że przyszedłszy tutaj podrobiłeś sobie fałszywy paszport i przezwałeś się Walkiem Bizunem. Hej! zakuć go w dyby i podwodę dostawić do dworu — pojedzie tam, gdzie go nauczą kraść i podrabiać paszporta.

— Szeliga otworzył gębę jak wrota. Walek buchnął na ziemię jak długi i jął iamentować i rwać rude włosy z głowy. Nikt go nie żałował, bo każdy wiedział że nicpoń. Najbardziej się jeno wstydził stary Szeliga, który go aż do córki wysforował.

Kiedy już Walek zakuty siedział w spichlerzu pańskim pod strażą dwóch chłopów, pan zawołał do siebie Szeligę, Berdysza, Janka, Baśkę i wszystkich gospodarzy i gospodynie ze wsi. Prosił także starowinę proboszcza, aby mu pomógł do dzieła zgody. Stanąwszy więc z księdzem przed całą gromadą, zaczął mówić:

— Moi kochani ludzie, to co się dzisiaj stało, pokazuje jakie są skutki niezgody i kłótni; jak Pan Bóg często dziwne ludziom podaje sposoby, aby się nawrócili do niego i przestali Go obrażać. Od lat 60ciu kłócą się Berdysze z Szeligami, albo też mówiąc po waszemu: kłóci się Berdyszowski koniec z Szeligowskim. Wszystko złe we wsi tylko z tej kłótni pochodzi. Dziadowie wasi pozabijali się oba; ojcowie poumierali w procesie;

nie było od sześćdziesięciu lat niedzieli, żeby nie było przekleństw, bitek, guzów, kaleczenia! Nie było dnia, żeby się albo wy, albo dzieci wasze nie przezywali i nie bili. Ksiądz was upominał, pan was prosił, powiat was karał, nic nie pomagało. Szeliga chwycił się prostego łotra dla tego, że mu ten obiecywał wykurzyć Berdyszów z gruntu, a pono i mnie coś odebrać. Chciał mu nawet dać córkę jedynaczkę, i powierzyć mu cały dom i gospodarstwo po ojcach odziedziczone. Pan Bóg widać sam tych dwoje młodych ludzi zbliżył do siebie, aby was pogodzić a ja i moja żona nieraz radziliśmy, żeby w ten sposób długą zwadę zakończyć. Zleć było, że Jasiek i Baśka rodzicom o tem nie powiedzieli, że się schodzili razem bez wiedzy ojców i matek; ale wyście sami temu winni, że się wam bali powiedzieć słowa. A kiedy się wszystko wykryło, to dla szubienicznika Walka ojciec córkę zbił jak nieboskie stworzenie, a i Jasiek pono na głowie ma guzy. Berdysz cieszył się, że Szeliga wydaje córkę za byle kogo. Szeliga oblizywał się już, że mu zięć Berdysza wyprawuje i może z chałupy wypędzi. Wielkie, wielkie grzechy wasze, moi ludzie! Ale kiedy teraz Pan Bóg wam otworzył oczy, kiedyście poznali, że tylko tym wierzyć można, co mają Pana Boga w sercu, posłuchajcie mnie i proboszcza, którym najwięcej na tem zależy, abyście byli w zgodzie ze sobą. Niech Baśka idzie za Janka, a najbogatsi kmiecie się połączą ze sobą. Póki wy żyjecie, na tych kawałkach pola, które dziadowie wasi sobie wydarli, będziecie siać dla biednych ludzi i oddacie zbiórkę do szpitalu — ja państwu młodym dam kawał gruntu i drzewa na chałupę, aby się i sami czego dorobili — a jutro wszyscy pójdziemy do kościoła, wyspowiadamy się i złożymy się na wybudowanie kaplicy w środku wsi dla Matki Boskiej, aby was strzegła od dalszych kłótni i niezgody.

Berdysz i Szeliga, chłopi z jednego i drugiego końca, tylko popatrzeli na siebie, bo żaden nie chciał pierwszy podać ręki do zgody. Ale pan wziął rękę Szeligi i Berdysza, i powiedział:

— Pogódźcie się, żeby Boskiej kary uniknąć. —

Łaska Boża zmiękczyła serca obu kmieci. Uściskali się, popłakali — a wtenczas już jak się Szeligowscy na Berdyszowskich

rzucili, jak się zaczęli całować i ściskać, to taki był płacz i ryk, że aż pełno było we dworze. I pan z proboszczem i panią płakali. Jasiek i Baśka całowali ręce dobrych państwa, i beczeli także. Pani wyniosła dwa złote pierścionki i w obec całej gromady odbyły się zaraz zaręczyny. Wtedy, skoro się na sucho już pogodzono, pan kazał przynieść z piwnicy antałek wina, i przy tym antałku bawili się wszyscy aż do białego rana.

Szeliga płacząc ściskał kolana pańskie i przepraszał za proces. Ale pan poklepał go jeno po ramieniu i rzekł: — Jużem o tem zapomniał.

Na trzeci dzień wszyscy byli u spowiedzi i złożyli się na figurę. Wkrótce odprawiło się wesele Jaśka i Baśki, na którem pan i pani i panicze a i ja byłem, miód i wino piłem, a potem spisałem wszystko, na naukę dla was ludkowie mili, abyście w świętej zgodzie żyli, jak to pan Jezus kazał. Wnet się pokazało, że niejeden chłopiec z Berdyszowskiego końca pięknem oczkiem na dziewuchy Szeligowskie spoglądał i że niejedna Berdyszanka wpadła w serce Szeliżanowi. Ksiądz proboszcz dawał ślub po ślubie, a skrzypek Ptak i basista Bąk chodzili jak zmory, bo nie mogli nastarczyć grać na weselach. I tak: Wicek Żelazny ożenił się z Kasią Borucianką z Berdyszowskiego końca, której dotąd płatał podobne figle jak Janek Basi; Staszek Sorota z Małgosią Dulską z Szeligowskiego końca; toż samo Błażek Wiewiórka z Zośką Niedźwiedzianką, a nawet stary wdowiec Mateusz Zawierucha posunął w zaloty do wdowy po Bartku Cichawie i powiadają ludzie, że się może w zapusty pobiorą.

Jasiek i Baśka pobudowali się nad rzeczką, naprzeciwko chałup ojców, tuż przy chałupie Walka, którą sprzedano na licytacyi i pieniądze oddano na szpital. Jasiek Baśkę okrutnie kocha a i ona jego niemało, a że przytem pobożnie i pracowicie żyją, to im pewnie Pan Bóg wszelkiego błogosławieństwa nie odmówi.

Figura Matki Boskiej stoi między trzema chałupami nad drogą, bardzo piękna, a co sobota schodzą się ludzie i śpiewają przed oświeconą kaplicą pieśni na chwałę Najświętszej Panienki.

W całym Gajowie cicho, jak mak siał, bitki i przekleństw nie słychać i powiadają, że już na kopcach granicznych więcej nie straszy.

CIEKAWY WOJTUŚ.

Wieliczka.

Nastałać niedziela. Wojtek przez całe rano chodził jak na szpilkach — tak niecierpliwie wyczekiwał południa i onej książki, co to ją ojciec obiecywał po nieszporach wziąść od księdza kanonika, a w której miało być pisanie o tej cudnej Wieliczce. Doczekał się przecie że zadzwonili na nieszpory. Wszystko troje: majster, pani majstrowa i Wojtuś ruszyli do katedry.

Po nieszporach Walenty skręcił do księdza kanonika po drodze, a matka ze synem poszli prosto do domu.

— Tylko tatusiu, nie bawcie się długo — mój złoty tatuleńko! wołał chłopiec za ojcem.

— No, no nie bój się, wrócę ja zaraz — odpowiedział Walenty.

I prawda że niedługo bawił. Jeszcze majstrowa nie uścigła zrzucić chustkę i zewledz z siebie kaftan podbity barankami, a jużci chłopak przez okno dopatrzył ojca, jak sporym krokiem i z książką w ręce pospieszał ku domu. Więc duchem skoczy ku drzwiom, a jeno mu się oczka śmiały, kiedy ojca z książką powitał na progu.

— Widzisz tedy, synu — powiada Walenty, żem się rychło zwinął. I podał chłopcu książkę: Masz a czytaj na głos, żeby wszyscy słyszeli.

Wojtuś nie dał sobie dwa razy powtarzać — umieścił się przy samem oknie dla lepszego światła, otworzył książkę i tak począł czytać:

— Różne kraje mają różne bogactwa i skarby: złoto, śrebro, różne drogie kamienie; polska ziemia nie ma im czego zazdrościć, bo ma zboże i sól. Nie tylko w Polsce, ale szeroko po świecie słynie sól z Wieliczki i jej kopalnie. Nie wielu z was podobno było tam i widziało z bliska. A warto widzieć, boć

to są cuda, jakich rzadko w całym świecie, i skarby niezmierzone, które już 700 lat mija jak kopią, a Bóg wie jak długo jeszcze trwać będą, bo ani znać tego, co z nich wzięto. Blisko milę idziesz w szersz i w zdłuż, blisko ćmierć mili w głąb, a wszystko sól. Ściany świecą się iskrami z soli; a im głębiej, tem piękniejsza i czyściejsza. Otóż abyście mogli sobie choć trochę wystawić jak to tam jest, opiszemy wam tyle, o ile można; boć to poznajecie łatwo, że co innego widzieć, a co innego słyszeć albo czytać; i nigdy tak opisać nie można, aby już za to obstało, jakby sam człek to widział.

Do tych kopalni jest kilka otworów, czyli takich studni, przez które po drabinkach jak zwykle w kopalniach wchodzą i wychodzą górnicy co dzień. Niektóre z tych studzien są tak szerokie, że konie w klatkach do nich spuszczają, które tam w kieratach pracują, i tym sposobem sól i wodę na wierzch wyprowadzają. Te konie zwykle kilka lat tam już zostają, ponieważ ślepną prędko; ale to im do roboty w kieratach nic nie przeszkadza, i za to są bardzo tłuste. — Głównych wchodów, któremi się można dostać aż na sam spód, jest tylko dwa. Jeden za pomocą schodów, których jest 470 — albo też można się spuścić, siedząc na szerokich taśmach konopianych, przytwierdzonych do grubej liny, która za pomocą kieratu z tymi ludźmi siedzącymi (a nieraz ich będzie z 20), aż na spód szybu się spuszcza. Obydwoma temi sposobami dostaje się dopiero na pierwsze piętro, rachując od ziemi, bo pod niem jeszcze są dwa. Na każdem piętrze dopiero rozchodzą się w różnym kierunku ulice kute w soli. Gdzieniegdzie jeszcze znajdują się warstwy ziemi podpierane drzewem. Niektóre z tych ulic są długie na ćwierć mili; niektóre mają znowu schody, po których zstępuje się na dolne piętro. Na pierwszem piętrze, niedaleko od miejsca, gdzie się można spuścić, jest kaplica świętego Antoniego wykuta w soli. Ołtarz, ambona, kropielnica, lichtarze, lustra, Chrystus na krzyżu, figury Świętych i Królów polskich — i wszystko co w tej kaplicy obaczysz, jest robione ze soli. Tam często odbywa się msza święta dla górników. Ztamtąd niżej trochę, jest znowu ogromna izba czyli sala z podłogą drewnianą, na której może się z jakie 1000 osób pomieści. Często, kiedy są jacy

znakomici goście, odbywają się tam zabawy i tańce. Niżej znowu, na drugiem piętrze, jest także jeszcze większa sala; około ścian kręcą się schody na dół; a jest tak wysoka, że patrząc z dołu na tych, co jeszcze w górze są, wydają się tak mali jak dzieci. Jest w niej u sklepienia powieszonych 6 czy 8 luster, czyli pająków na ścianie, takich jak to w kościołach widzicie. Wiszą one na sznurach, mających może ze 40 łokci długości; obręcze tylko są z drzewa, mające na około z jakie 15 łokci, a reszta wszystko, to jest bentlotki, co zwyczajnie ze szkła bywają, są z soli, wielkości gruszki lub bułki. Jest to więc przecudny widok, kiedy te lustra są oświecone, bo światło w tych bentlotkach i po ścianach odbija się i miga, a kiedy jeszcze zagra muzyka, i widzi się na około, pod sobą i nad sobą tysiące ludzi, to się zdaje, że człowiek znajduje się w jakimś zaczarowanym pałacu. Nie daleko także ztamtąd można widzieć strumień wody słodkiej, spadający przez rozpadliny skał i soli, co jest wielkiem dobrodziejstwem Pana Boga w tej kopalni, bo inaczej musieliby ją sobie z góry do picia i gotowania sprowadzać. Jest takich strumyków wody kilka, które, aby kopalnie nie psuły i nie zalewały, sprowadzone są w wielkie jezioro, już na samym spodzie, to jest na trzeciem piętrze leżące, a na niem są czółna do pływania. Sklepienie zaś nad tem jeziorem jest tak wysokie, że prawie trudno okiem dojrzeć.

Często napotyka się robotników pracujących koło soli: jedni ją kilofami i drągami odrębują od ścian; drudzy znowu prochem wysadzają, tak jak skały; inni w beczki drobniejszą sól pakują i staczają na miejsca, gdzie ją kieratami w górę ciągną. Na dzień robi tam blisko 2000 ludzi, rachując z dozorcami, a każdego obszukują, jak wychodzi z szybu, aby co nie wziął. Wodę zaś słoną, którą na wierzch wiadrami wyciągają, wylewają w nieczyste miejsca i kanały gnojowe, aby je nikt nie brał. Rocznie wydobywają dwa miliony centnarów soli; to też za nią piękny pieniądz wpływa corocznie do skarbu.

Powietrze w tych kopalniach jest wcale łagodne i zdrowe. Pomylili się niektórzy co opisywali te żupy, powiadając: że żaden robotnik nie może w nich długo pracować; gdy przeciwnie

górnicy wchodzą tam rano, biorąc z sobą jedzenie, a nie wychodzą aż na wieczór, i zwyczaj ten tak jest dawny, jak odkrycie kopalni, a zwykle późnego dochodzą wieku.

Powiedzieliśmy wam, że w wielu miejscach, szczególnie od góry, gdzie jeszcze sól z ziemią jest pomieszana, podpory czyli stęplowania są z drzewa. Otóż z tego powodu mogą się zdarzać wypadki ognia w tychże kopalniach. Dwa takie wypadki wspominają stare książki:

Pierwszy stał się w roku 1510 za panowania króla Zygmunta I. Złośliwy jeden robotnik, wychodząc z szybu, ogień w lochach podziemnych podrzucił. Od dymu dużo się robotników podusiło — inni uciekając, szyje na śmierć połamali. Andrzej Kościelecki, naówczas żupnik, wydał samego siebie na niebezpieczeństwo; gdy się żaden z czeladzi leźć nie poważył, sam skoczył do szybu dla ratunku, wespół z Sewerynem Betmanem, rajcą krakowskim, choć ten już był starzec 70-letni. Kościelecki zrażony dymem, niedolazłszy do gruntu, spadł na dół. Betman go ocucił i oba ogień ugasiwszy, niebezpieczeństwo oddalili.

Drugi przypadek zdarzył się dnia 16. Grudnia w r. 1644. W Bonarowskim szybie (teraz już zasypanym), zapaliło się z nieostrożności siano. Od tego ognia i dymu, cokolwiek znajdowało się ludzi i koni, wszystko się podusiło. Trwał ten dym i pożar przez cały rok następujący, nie dopuszczając roboty, zkąd był wielki niedostatek soli, a skarb królewski niezmierne poniósł szkody.

Podług tychże książek starych miały być te kopalnie soli w Wieliczce odkryte tym sposobem: „Bolesław Wstydliwy, Król Polski, zaręczył sobie przez posłów córkę Króla Węgierskiego, niejakiego Beli. Owóż ta oblubienica nie chcąc u ojca brać żadnego posagu w złocie i śrebrze, prosiła go tylko na wyjeździe, aby jej darował, coby równie bogaczom i ubogim służyć mogło. Zezwolił ojciec, a Kunegunda pojechawszy do żup węgierskich, ślubny pierścień wrzuciła do szybu. Stanąwszy potem w Krakowie, kazała się wieźć po niejakim czasie do Wieliczki; a gdy za jej wolą ziemię tam kopać zaczęto, znaleziono sól i zaraz w pierwszej sztuce pokazał się królewski pierścień.

Póżniej ta nasza Królowa Kunegunda została za Świętą uznana, że żyła bardzo bogobojnie.

Ktoby z gości chciał wszystko zobaczyć w tej Wieliczce, niechaj czeka, aż jacy wieloy panowie zjadą tam w odwiedziny. Wtenczas to wszystkie ulice i ściany i lustra ze soli są poświecane, a zatem wszystko daleko jest piękniejszem. Wpuszczają każdego kto jeno zechce; wszędzie pełno jest ludzi, muzyka przygrywa jak na jakiem weselu, często gęsto i tańce tam wyprawiają i palą ognie cudne rozmaitego koloru, tak, że człowiek prawie głupieje i nie wie gdzie jest.

Odezwał się Walenty: — Szczerać to prawda co napisano w tej książce. — Mogę ja powiedzieć, bom tam był i wszystko na moje własne oczy widział. Podobnoć już koniec tej historyi o Wieliczce, nieprawda Wojtek?

Chłopiec kiwnął głową i odłożył książkę na bok.

— A proszę ja taty, zapytał pod koniec, — nie zawaliż się to miasto kiedy, skoroć się ludzie tak bardzo pod niem rozkopali?

— Gdzietam, synu! stoić ono już od tak dawna, a nic mu nie jest, to przy pomocy Boskiej postoi sobie i dłużej, i nic mu nie będzie.

— Chwała Najwyższemu! rzeknie na to pani majstrowa, złożywszy ręce nabożnie — bo coby to była za szkoda, moi ludzie... o dla Boga! —

RÓŻNOŚCI.

Poprawka. Wiecie, że pamięć człeka często zawodzi. Otóż i Wojciech z pod Opatowca, co to wam opowiadał o podróży na św. Kalwarję, omylił się w jednem miejscu. Powiada on że kaplicę św. Karola Boromeusza w Niepołomickim kościele fundował *Karol Lanckoroński* — a tak nie jest. Że zaś człek powinien być rzetelny w każdem słowie, dla tego i Wojciech się poprawia i donosi wam, że oną kaplicę nie Karol Lanckoroński ale *Stanisław Lubomirski* fundował.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**